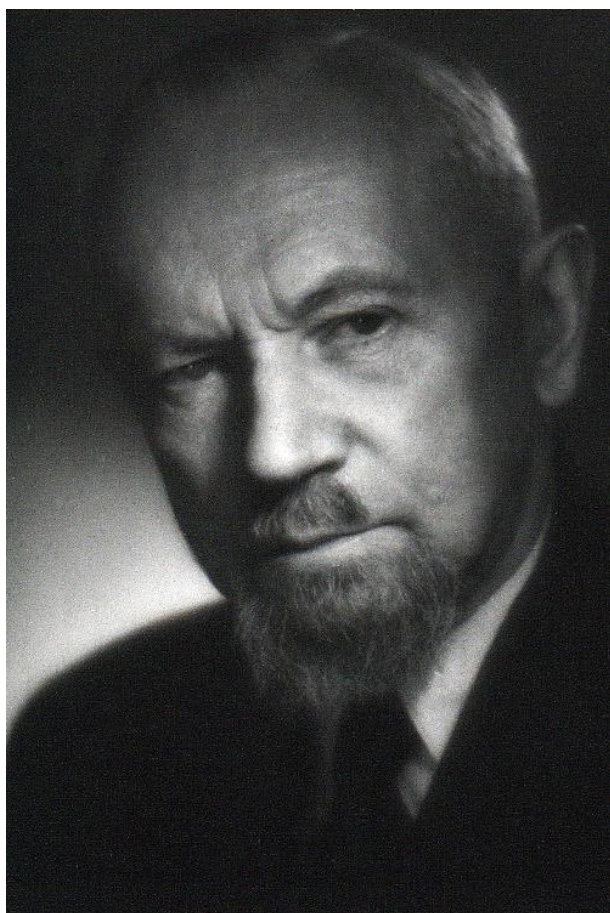


Poeci dwudziestolecia międzywojennego

Leopolda Staffa (1878–1957) – poetę trzech pokoleń – pamiętamy doskonale z Młodej Polski. Wówczas przechodził fazę nietzscheanizmu, dekadentyzmu, postawę franciszkańską i umiłowanie wsi aż po tendencje klasyczne. W dwudziestoleciu międzywojennym miał już ustaloną opinię poety dużego formatu (uznawali go za swojego patrona skamandryci).



- Tworzy w tym okresie Leopold Staff
 - poezję codzienności,
 - pragnie wydobyć piękno z motywów powszednich i rodzimych.
- Przyjmuje jako jeden z motywów szarą codzienność miasta, lecz skupia swoją uwagę na temacie wsi, sławi wiejski pejzaż, prace w polu – znamienny jest w tym względzie tom *Ścieżki polne*.

- Wiersz *Kartoflisko* ukazuje właśnie rolników pracujących przy wykopkach – kartofle uderzające o wiadro brzmią jak „werble na odmarsz jesieni”.

Jak widać, poeta do tematów codziennych i prostych używa formy klasycznej, uzyskując w ten sposób efekt piękna i poetyckości. Znana jest także z tego okresu żartobliwa „pochwała wieprza i gnoju” Leopolda Staffa, lecz także klasyczny motyw poety i poezji. Wiersz i tom pt. *Wysokie drzewa* to już kunsztowny klasycyzm.

Leopold Staff

WYSOKIE DRZEWA

O, cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa,
W brązie zachodu kute wieczornym promieniem,
Nad wodą, co się pawich barw blaskiem rozlewa,
Pogłębiona odbitych konarów sklepieniem.

Zapach wody, zielony w cieniu, złoty w słońcu,
W bezwietrzu sennym ledwo miesza się, kołysze,
Gdy z łąk koniki polne w sierpniowym gorącu
Tysiącem srebrnych nożyc szybko strzygą ciszę.

Z wolna wszystko umilka, zapada w krąg głusza
I zmierzch ciemnością smukłe korony odziewa,
Z których widmami rośnie wyzwolona dusza...
O, cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa!

KARTOFLISKO

Pod niebem, co jesiennym siąpi kapuśniakiem,
Na sejm zlatują wrony w żałobnym zespole
I z krzykiem krążą nisko nad kobiet orszakiem,
Rozpinając swych skrzydeł czarne parasole.

A robotnice w twardym, cierpliwym mozole,
Okryte - każda innym - barwistym wełniakiem,
Dziobią pilnie motyką ziemniaczane pole,
W miękkiej ziemi stopami zaparte okrakiem.

Pośród mgły i szarugi, przemokłe do nitki,
Grudy grzęd rozgarniają schylone najmitki
I spod zeschniętych badyli i płytkich korzeni

Zbierają krągłe bulwy, jak jaja spod kwoki,
I rzucają je w wiadro lub ceber głęboki,
Co głucho grzmia jak bębny na odmarsz jesieni.

LIPY

Odkąd dla Muz i własnej poważnej igraszki,
W chłodnym cieniu ochronnej lipy czarnoleskiej,
Wyśpiewałeś na lutni swej pieśni i fraszki,
Pogodną sztuką z rymem wiążąc rym królewski:

Od czterech wdzięcznych wieków i dla wiecznej chwały,
Złotej jak miód natchniony w twym pisany dzbanie,
Wszystkie kwitnące słodko lipy w Polsce całej
Pachną imieniem twoim, Kochanowski Janie!

ARS POETICA

Echo z dna serca, nieuchwytnie,
Woła mi: "Schwyć mnie, nim przepadnę,
Nim zblednę, stanę się błękitne,
Srebrzyste, przezroczyście, żadne!"

Łowię je spiesznie jak motyla,
Nie, abym świat dziwnością zdumiał,
Lecz by się kształtem stała chwila
I abyś, bracie, mnie zrozumiał.

I niech wiersz, co ze strun się toczy,
Będzie, przybrawszy rytm i dźwięki,
Tak jasny jak spojrzenie w oczy
I prosty jak podanie ręki.

Jan Lechoń
(1899–1956)



Spotkanie

Dzisiaj nocą samotną, spędzoną bezsennie,
Po promieniach księżycy, jakimś dziwnym tchnieniem,
Sam nie wiem, jak się nagle ocknąłem w Rawennie
I z dawno utęsknionym spotkałem zwidzeniem.

Przez otwarte ktoś okno grał cicho na flecie,
I wiatr lekki woń przyniósł duszącą, upojną -
Jak w mistycznym w nią szedłem wplątany bukiecie,
Pod nieba wyiskrzoną kopułą dostojną.

"Będziecie wysłuchani tęskniący, więc proście!"
Jak przez Boga zakłęty przymknąłem powieki -
I tyłkom jakiś dziwny posłyszał szum rzeki,
A później, później Danta ujrzałem na moście.

"Tyżeś to, ty mój mistrzu! Dlaczego tak blady
I czemu taki dziwny niepokój cię żarzy?
Przychodzę cię ubłagać o sekret twej twarzy.
Nic nie wiem. Zabłądziłem. I proszę twej rady".

On to rzekł, czy rzekł księżyc, czy woda to rzekła,
Padłem, głowę ukrywszy rękami obiema:
"Nie ma nieba i ziemi, otchłani, ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma".

Grób Agamemnona

Czarna cyprysu dłoń wzniesiona
I rozkruszonych kolumn piach,
Grobowe płyty potrzaskane
I księżyc, który padł na ścianę.
Czy widzisz grób Agamemnona?
Elektrę nad nim całą w łzach?

Oto żołnierze bez nadziei,
Co krwią zbroczeni padli w pyle,
Pobladła, trupią kryjąc twarz.
Ty, któryś szedł na Termopile,
Czy słyszysz wicher Cheronei,
Którego odtąd słuchać masz?

Siądź tutaj ze mną w cząbrów woni,
Trzymaj Elektry dłoń w twej dłoni,
Wysłuchany w łąki nocny śpiew!
Na tego grobu usiądź płyty -
Patrz! Jakiś orzeł znakomity
Ze srebrnych skrzydeł trzęsie krew.

O, nie myśl teraz: "To kto inny!".
Padnij i wołaj: "Jam jest winny!",
Ja, którym marzyłem, którym spałem.
I tylko wtedy w gąszczu pinii
Zobaczysz kształt klasycznych linii,
Ateng złotą pośród skał.

Patrz! Oto światła smuga drżąca

Ginie i schodzi w mroczny Ereb.
Niech cię nie straszy jego głąb!
I niechaj stopa twa potrąca
Na drodze twej rubaszny czerep,
I na dno samo śmiało zstap!

Legenda

Wszystkie słowa-podniosłe, któreś znał ze szkoły,
Muzyka starych pieśni, wolności anioły,
Książę Józef na koniu, wiszący nad biurkiem,
I olbrzymi Batory w małej czapce z piórkiem,
I młodzieniec z Grottgera, co żegna swą miłą,
Pocztówka z Białym Orłem - wszystko to ożyło!
I oto między nimi jako brylant krwawy
Świeci mur zburzonego katedry ołtarza,
Leży kamień zwyczajny z ulicy Warszawy,
Stara chustka służącej, czapka gazeciarza.
Wśród stalowych husarzy skrzydlatego szyku
Widzisz pana niskiego w czarnym meloniku.
A dalej, gdzie więzienia gruby mur i wieże,
Generała Kleeberga podniesiona głowa
I słyszysz - (czyś mógł myśleć?) - równie piękne słowa
Jak tamte, które kiedyś umilkły w Elsterze.

Bolesław Leśmian (1877–1937)



Dusiołek

Szedł po świecie Bajdała,
Co go wiosna zagrzała -
Oprócz siebie - wiódł szkapę, oprócz szkapy - wołu,
Tyleż tędy, co wszędy, szedł z nimi pospołu.

Zachciało się Bajdale,
Przespać upał w upale,
Wypatrzył zezem ściółkę ze mchu popod lasem,
Czy dogodna dla karku - spróbował obcasem.

Poległ cielska tobołem
Między szkapą a wołem,
Skrzywił gębę na bakier i jęzorem mlasnął
I ziewnął wniebogłosy i splunął i zasnął.

Nie wiadomo dziś wcale,

Co się śniło Bajdale?
Lecz wiadomo, że szpecąc przystojność przestworza,
Wylazł z rowu Dusiołek, jak półbabeł z łoża.

Pysk miał z żabia ślimaczy -
(Że też taki żyć raczy!) -
A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo.
Milcz gębo nieposłuszna, bo dziewczki wyłają!

Ogon miał ci z rzemyka,
Podogonie zaś z łyka.
Siadł Bajdale na piersi, jak ten kruk na snopie -
Póty dusił i dusił, aż coś warkło w chłopie!

Warkło, trzasło, spotniało!
Coć się stało, Bajdało?
Dmucha w wąsy ze zgrozy, jękiem złemu przeczy -
Słuchajta, wszystkie wierzby, jak chłop przez sen beczy!

Sterał we śnie Bajdała
Pół duszy i pół ciała,
Lecz po prawdzie niedługo ze zmorą marudził -
Wyparskał ją nozdrzami, zmarszczył się i zbudził.

Rzekł Bajdała do szkapy:
Czemu zwieszasz swe chrapy?
Trzebać było kopytem Dusiołka przetrącić,
Zanim zdążył mój spokój w całym polu zmaćić!

Rzekł Bajdała do wołu:
Czemuś skąpił mozołu?
Trzebać było rogami Dusiołka postronić,
Gdy chciał na mnie swej duszy paskudę wyłonić!

Rzekł Bajdała do Boga:
O, rety - olaboga!
Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka,
Jeszcześ musiał takiego zmaistrować Dusiołka?

Dziewczyna

*Władysławowi Jaroszewiczowi,
Jego entuzjastycznym zapalom
dla dzieł twórczych i szczerym
wyczuciom czarów poetyckich*

Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadalo mur od marzeń strony,
A poza murem plakal głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczony.

I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o Dziewczynie,
I zgadywali kształty ust po tym, jak śpiew od żalu ginie...

Mówili o niej: "Łka, więc jest!" - I nic innego nie mówili,
I przeżegnali cały świat - i świat zadumał się w tej chwili...

Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?

"O, prędzej skruszmy zimny gład, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" -
Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze.

Ale daremny był ich trud, daremny ramion sprzęg i usił!
Oddali ciała swe na strwon owemu snowi, co ich kusił!

Łamią się piersi, trzeszczy kość, próchnieją dłonie, twarze bledną...
I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!

Lecz cienie zmarłych - Boże mój! - nie wypuściły młotów z dłoni!
I tylko inny płynie czas - i tylko młot inaczej dzwoni...

I dzwoni w przód! I dzwoni w spak! I wzwyż za każdym grzmi nawrotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto tu jest cieniem, a kto młotem?

"O, prędzej skruszmy zimny gład, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" -
Tak, waląc w mur, dwunasty cień do jedenastu innych rzecze.

Lecz cieniem zbrakło nagle sił, a cień się mrokom nie opiera!
I powymarły jeszcze raz, bo nigdy dość się nie umiera...

I nigdy dość, i nigdy tak, jak pragnie tego ów, co kona!...
I znikła treść - i zginął ślad - i powieść o nich już skończona!

Lecz dzielne młoty - Boże mój - mdłej nie poddały się żalobie!
I same przez się biły w mur, huczały spiżem same w sobie!

Huczały w mrok, huczały w blask i ociekały ludzkim potem!
I nie wiedziała ślepa noc, czym bywa młot, gdy nie jest młotem?

"O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" -
Tak, waląc w mur, dwunasty młot do jedenastu innych rzeczy.

I runął mur, tysiącem ech wstrząsając wzgórza i doliny!
Lecz poza murem - nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny!

Niczyich oczu ani ust! I niczyjego w kwiatach losu!
Bo to był głos i tylko - głos, i nic nie było oprócz głosu!

Nic - tylko płacz i żal i mrok i niewiadość i zatrała!
Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata?

Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudów,
Potężne młoty legły w rząd, na znak spełnionych godnie trudów.

I była zgroza nagłych cisz. I była próżnia w całym niebie!
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?

Urszula Kochanowska

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzył na mnie i głaskał po głowie.

„Zbliź się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa.”

„Zrób tak, Boże – szepnęłam – by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam – w Czarnolasie!” –

I umilkłam złęczniona i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął – i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz – Czarnolaski.

I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!

I rzekł: „Oto są – sprzęty, a oto – donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładałam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!”

I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę –
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę –

I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam – i czuwam – i czekam...

Już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słyhać kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera... Nie!... To – Bóg, nie oni!...

W malinowym chruśniaku

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś na oślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszyl kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Duszno było od malin, któreś, szapcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśzczoły
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którym okamgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,

Porwałem twoje dłonie - oddałaś w skupieniu,
A chrusniak malinowy trwał wciąż dookoła.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (1891–1945)



Czas krawiec kulawy

Czas jak to czas, krawiec kulawy,
z chińskim wąsem, suchotnik żwawy,
coraz to inne skrawki przed oczy mi kładzie,
spoczywające w ponurej szufladzie.
Czarne, bure, zielone i wesołe w kratki,
to zgrzebne szare płótno, to znów atlas gładki.
Raz — coś błysło jak złotem,
zamigotało zielonym klejnotem,
zateńczyło na zgięciu,
zachrzęściło w dotknięciu...
Więc krzyknęłam: „Ach! z tego, z tego chcę mieć suknię!“

Lecz Czas, jak to Czas, zły krawiec, tak pod wąsem fuknie:
„To sprzedane do nieba — cała sztuka —
szczęśliwy, kto ten skrawek widział — niech większego szczęścia nie szuka“.

— To rzekłszy, schował prędko próbkę do szuflady,
a mnie pokazał sukno barwy — czekolady. — —

Miłość (Nie widziałam cię już od miesiąca...)

Nie widziałam cię już od miesiąca.
I nic. Jestem może bledsza,
trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
lecz można żyć bez powietrza!

Miłość (Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie...)

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.
Patrzysz w okno i smutek masz w oku...
Przecież mnie kochasz nad życie?
Sam mówiłeś przeszłego roku...
Śmiejesz się, lecz coś tkwi poza tym.
Patrzysz w niebo, na rzeźby obłoków...
Przecież ja jestem niebem i światem?
Sam mówiłeś przeszłego roku...

Matka Natura

Matka Natura wchodzi — babsko tęgie, dziwne,
uśmiechnięte jak Budda, jak lis i Gioconda.
Siada ciężko w fotelu, patrzy na godzinę,
na pokój i na meble ciekawie spogląda.

Będzie ją ktoś z zebranych błagał na kolanach,
otoczą ją lekarze w płóciennych fartuchach,
lecz ona milczeć będzie od rana do rana,
na jęk młodej pierwiastki nieodparcie głucha.

Starszej pani płaczącej spojrzy poprzez ramię
w kąt, gdzie czeka od wczoraj stęskniona kołyska,
po czym oprze się łokciem na okiennej ramie,
by posłuchać, jak słowik serce w niebo ciska.

Ze spojrzeniem poczciwym, choć trochę nieszczerem,
zakasze wreszcie ręce do pracy nieskore —
i wśród perfum i potu, zmieszanych z eterem,
zaśnie nagle w fotelu wcielenie przekory.

Aż gdy krzyk w białych murach rozprysnie się echem,
gdy padną słowa: maska, chloroform i kleszcze,
— ruszy się pra-położna. Pomoże z pośpiechem,
bo i kotka w ogrodzie czeka na nią jeszcze...

Julian Przyboś
(1901–1970)



Wieczór

Te same gwiazdy
wyszeptaly wieczór jak zwierzenie.

Latarnie wyszły z ciemnych bram na ulicę
i w powietrzu cicho stanęły.

Zmrok łagodnie przemienia przestrzenie.

Ogrody opuściły swoje drzewa,
szare domki znad rzeki spłynęły.

W niskich brzegach wśród olch płynie żal.

Tylko horyzont uchyla nieba
księżycem,
i droga długo wiedzie we wspomnienie.

I twoje dłonie sięgają między nami dalej.

Z Tatr

Słyszę:
Kamieniuje tę przestrzeń niewybuchły huk skał.

To - wrzask wody obdzieranej siklawą z łożyska
I gromobicie ciszy.

Ten świat, wzburzony przestraszonym spojrzeniem,
uciszę,
lecz -
Nie pomieszczę twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr.

To zgrzyt
czekana
okrzęsany z echa,
to tylko cały twój świat
skurczony w mojej garści na obrywie głazu;
to - gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt.
Na rozpacz - jakże go mało!
A groza - wygórowana!

Jak lekko
turnię zawisłą na rękach
utrzymać i nie paść,
gdy
w oczach przewraca się obnażona ziemia
do góry dnem krajobrazu
niebo strącając w przepaść!

Jak cicho
w zatrzaśniętej pięści pochować Zamarłą.

Słowik

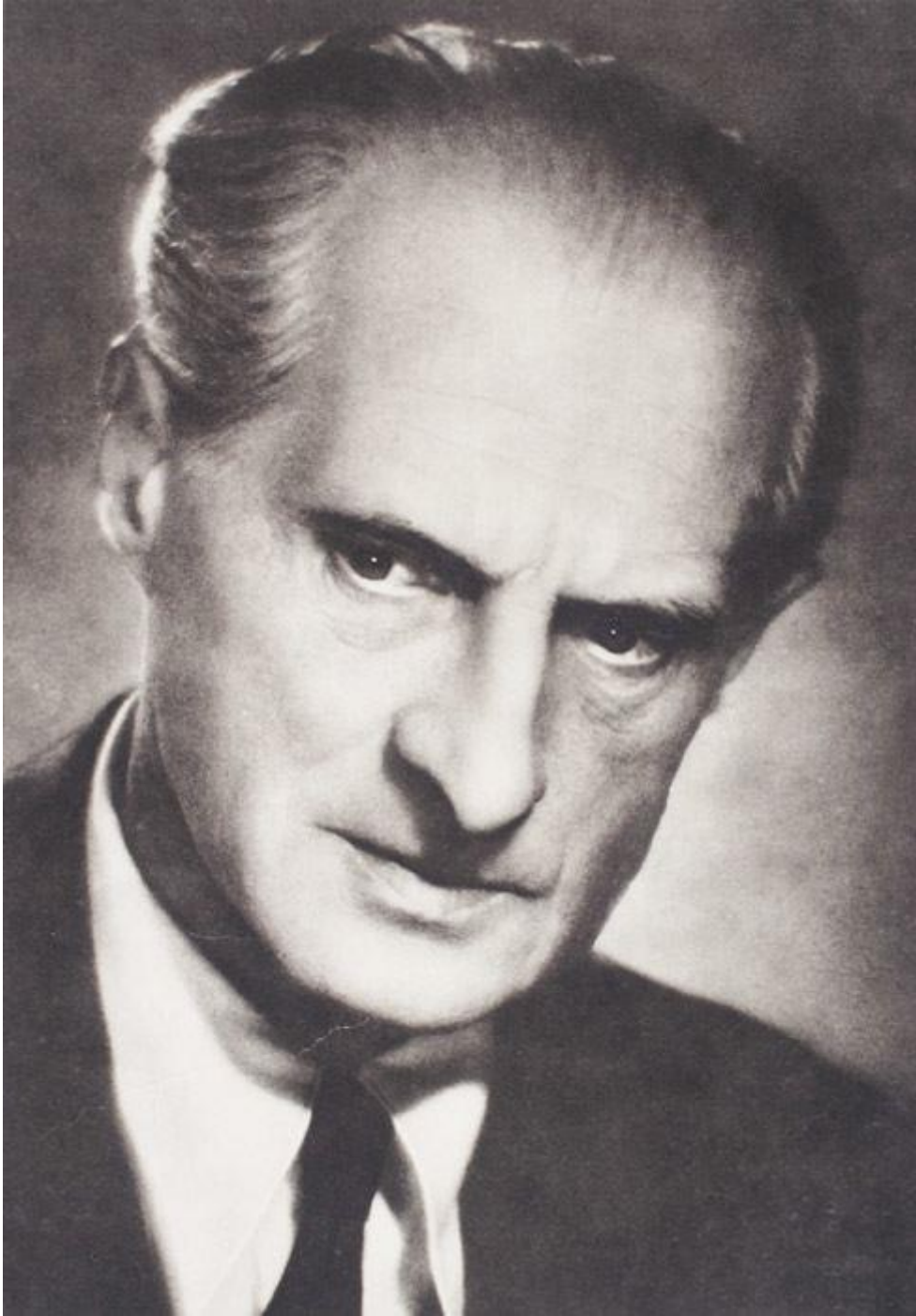
Skryty w cierniach tarnin i malin
naglił noc — i mijała, i szlifował swój głos
i świst,
i wyciągał swój śpiew
w cienki włos. I wił tkliwiej i cieniej
twój złocisty lok koło ucha.

Słuchaj,
słuchaj — dalej:
przeń, miła, słowika
ze słyszenia — w widzenie:
to skowronek, to świt.
Oto widzę jaśniejącą twoją brew.
I dotknęłaś rzęsami moich powiek.

Tchnąłem słowo —
odpowiedz.

Spojrzyj: słowik
na każdym czubku drzew
znika
podlatując w jednowymiarowość
i najdźwięczniej, i najbeziemiennie —
w ciszę.
"Kocham" — słyszę.

Julian Tuwim
(1894 –1953)



Wiosna

(dytyramb)

Gromadę dziś się pochwali,
Pochwali się zbiegowisko
I miasto.
Na rynkach się stosy zapali
I buchnie wielkie ognisko,
I tłum na ulicę wylegnie
Z kątów wypełźnie, z nor wybiegnie
Świętować wiosnę w mieście,
Świętować jurne święto.
I Ciebie się pochwali,
Brzuchu w biodrach szerokich,
Niewiasto!

Zachybotą! -- Buchnęło - i płynie -
Szurają nóżki, kołyszą się biodra,
Gwar, gwar, gwar, chichoty,
Gwar, gwar, gwar, piski,
Wyglancowane dowcipkują pyski,
Wyległo miliard pstrokatej hołoty,
Szurają nóżki, kołyszą się biodra,
Szur, szur, szur, gwar, gwar, gwar,
Suną tysiące rozwydrzonych par,
- A dalej! A dalej! A dalej!
W ciemne zieleńce, do alej,
Na ławce, psiekrwie, na trawce,
Naróbcie Polsce bachorów,
Wijcie się, psiekrwie, wijcie,
W szynkach narożnych pijcie,
Rozrzucicie więcej "kawalerskich chorób"!
A!! będą później ze wstydu się wiły
Dziewki fabryczne, brzuchate kobyły,
Krzywych pędraków sromne nosicielki!
Gwałćcie! Polecą każda na kolację!
Na kolorowe wasze kamizelki,
Na papierowe wasze kołnierzyki!
Tłumie, bądź dziki!
Tłumie! Ty masz RACJĘ!!!

O, ty zbrodniarzu cudowny i prosty,
Elementarny, pierwotnie wspaniały!

Ty gnoju miasta tytanicznej krosty,
Tłumie, o Tłumie, Tłumie rozszalały!
Faluj, straszliwa maso, po ulicach,
Wracaj od rogu, śmieję się, wariuj, szaleję!
Ciasno ci w zwartych, twardych kamienicach,
Przyj! Może pękna - i pójdziecie dalej!

Powietrza! Z swych zatechłych i nudnych facjatek
Wyległ potwór porubczy! Hej, czternastolatki,
Będzie dziś z was korowód zasromanych matek,
Kwiatki moje niewinne! Jasne moje dziatki!

Będzie dziś święto wasze i zabrzęczą szklanki,
Ze wstydem powrócicie, rodzice was skarżą!
Wyjdziecie dziś na rogi ulic, o kochanki,
Sprzedawać się obleśnym, trzęsącym się starcom!

Hej w dryndy! Do hotelów! Na wiedeński sznycel!
Na piwko, na koniaczek, na kanapkę miękką!
Uśmiechnie się, dziewczątka, kelner wasz, jak szpicel,
Niejedna taką widział, niejedna serdeńko...

A kiedy cię obejmą śliskie, drżące łapy
I młodej piersi chciwie, szybko szukać zaczną,
Gdy rozedmą się w żądry nozdrza, tłuste chrapy,
Gdy ci kto pocnie szeptać pokusę łajdaczną -

- Pozwól!!! Przeroż go sobą, ty grzechu, kobieto!
Rodzicielko wspaniała! Samico nabrzękła!
Ołśnij go wyuzdaniem jak złotą rakieta!
"Nie w stylu" będziesz - trwożna, wstydliva, wylękła...

Wiosna!!! Patrz, co się dzieje! Toć jeszcze za chwilę
I rzuci się tłum cały w rui na ulicę!
Zośki ze szwalni i pralni, "Ignacze", Kamile!
I poczną sobą samców częstować samice!

Wiosna!!! Hajda - pęczniejcie! Trujcie się ze sromu!
Do szpitali gromadnie, tłuszczo rozwydrzona!
Do kloak swe bastrzeta ciskaj po kryjomu,
I znowu na ulicę, w jej chwytnie ramiona!!!

Jeszcze! Jeszcze! I jeszcze! Zachłannie! Bezkreśnie!

Rodźcie, a jak najwięcej! Trzeba miasto silić!
Wyrwajcie bachorom języki boleśnie,
By, gdy je w dół wrzucicie nie mogły już kwilić!

Wszystko - wasze! Biodrami śmigajcie, udami!
Niech idzie tan lubieżnych podnieceń! Nie szkodzi!
- Och, sławię ja cię, tłumie, wzniosłymi słowami
I ciebie, Wiosno, za to, że się zbrodniarz płodzi!

Do krytyków

A w maju
Zwykłem jeździć, szanowni panowie,
Na przedniej platformie tramwaju!
Miasto na wskroś mnie przeszywa!
Co się tam dzieje w mej głowie:
Pędy, zapędy, ognie, ogniwa,
Wesoło w czubie i w piętach,
A najweselej na skrętach!
Na skrętach - kuliście
Zagarniam zachwytem ramienia,
A drzewa w porywie natchnienia
Szaleją wiosenną wonią,
Z radości pęka pąkowie,
Ulice na alarm dzwonią,
Maju, maju! - -
Tak to jadę na przedniej platformie tramwaju,
Wielce szanowni panowie!...

Do prostego człowieka

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy "do ludności", "do żołnierzy"
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę

Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I łudzić "historyczną racją",
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę - bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab - kwiatami
Obrzucać zacznie "żołnierzyków". -
- O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwozę biją w dzwony
Króle z pannami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: "Broń na ramię!",
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
"Bujać - to my, panowie szlachta!"

Mieszkańcy

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają straszni mieszczenie.
Pleśnią i kopciem pełnie po ścianach
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.

Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,
Krawacik musną, klapy obciągną
I godnym krokiem z mieszkań - na ziemię,
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapieci szczelnie,
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc - widzą wszystko oddzielnie
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż papierowym wzdęte zakalce,
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią, że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna,
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.
Pod łóżka włożą, złodzieja węższą,
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,
Spodnie na tyłkach zacerowane,
Własność wielebną, święte nabytki,
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: "od nagłej śmierci...
...od wojny... głodu... odpoczywanie"
I zasypiają z mordą na piersi
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie.

Rzecz Czarnoleska

Rzecz Czarnoleska - przyplywa, otacza,
Nawiedzonego niepokoi dziwem.
Słowo się z wolna w brzmieniu przeistacza,

Staje się tem prawdziwem.

Z chaosu ład się tworzy, konieczność,
Jedyność chwili, gdy bezmiar tworzywa
Sam się układa w swoją ostateczność
I woła, jak się nazywa.

Głuchy nierozum, ciemny sens człowieczy
Oстрыm promieniem na wskroś prześwielony,
Oddechem wielkiej Czarnoleskiej Rzeczy
Zbudzony i wyzwolony.

Kazimiera Hlakowiczówna
(1888–1983)



Bóg jest wszędzie

Nie można tego obejść. Bóg jest wszędzie,
w każdym dziwnym i strasznym obrzędzie.
Wywołuje Go nie tylko modlitw kadzidlany kwiat,
ale szubienice i topór i kat.
Bóg jest w sędzi, który sądzi krzywo,
i w świadku, co przysięga na prawdę fałszywie,
nie może nie być. I to mnie przestrasza.
Bo jeśli – w świętym Piotrze, to także – w Judaszu;
jeśli w Żydzie zamęczonym niewinnie przez Niemców,
to także w Niemcach tych? I tak się kręcę
od Prawdy do Nieprawdy, od kary do zbrodni,
w każdej cząsteczce – Boga odnajdując co dnia.
I chce mi się wyciągnąć ręce nad człowiekiem
i winnym i niewinnym, i małym i wielkim,
i krzycheć wielkim głosem błagalną przestrogę,
aby sądząc człowieka nie męczono Boga.

Jesień

Wypatrzyliśmy oczy za jaskółką odlatującą.
Latem stało po drogach tak upalne ,tak upalne gorąco ,
od księżycyca nad dachem było aż do głębi serca srebrzyście!...
Teraz serce rozsypane po drogach leży jak liście ...jak liście...

Wrzosy

Miałam wtedy ciebie ,ciebie i jesień :
szłyśmy po wrzosach ,po wrzosach w lesie;
plątały się gałązeczki wrzosu ,
wpadały pszczoły z brzękiem we włosy,
wpadały z gwizdem ,wypadały z sykiem
płowe gorące ,straszne i dzikie !

Obrona

Chwiejna stoję, migocąca i majająca,
i rani mnie wszystko, i każdy mnie potrąca;
ci, którzy mnie kochają, gwałtowni i prości,
nie mają nade mną litości,
a którzy nienawidzą mnie - są źli i olbrzymi,
i wiedzą, że drzę pod nimi.
Więc jedno tylko jest pomiędzy mną a grozą świata:
skrzydła i ręce przezroczyście, z rąk i skrzydeł kata,
leciutkie szkielety widm jak weneckie szkiełka - kruche,
kosteczki szeleszczące i błony skrzydeł suche.

Urocznica

A jaka jest, kiedy zasypiasz?... Różowa, różowa,
jak niesłychana suknia, jak kora sosnowa,
jak małe ręce migotliwe, pieścotliwe...
jak blade usta, nareszcie szczęśliwe...
A jaka jest w tańcu?... Jak płomyk na głowie.
A jaka - kiedy kochasz?... Tego się nie wypowie!

Sam na sam

Obejmij mnie, pokochaj... Jesteśmy sami, sami...
...Wicher przebiega po włosach, wicher potrząsa oknami...
Ręce mam zimne, przybiegłam -- jak liść -- z pustego ogrodu
do ciebie, do oczu twoich o barwie ciemnego miodu.

Aż tutaj wieją wichury twardo splecione warkocze...
...Zamknij okno... Skończone zaklęcia i czary smocze:
smok mój ułoży się kołem w dziwaczne snu arabeski,
będzie różowy jak muszla lub -- jeśli każesz -- niebieski,

w ogromne, płetwiaste łapy jak w wieka zamknie pogrzebne
wszystko, co obok istnieje dalekie i niepotrzebne,
wszystko, co dzwoni i szczęka, gwizdże i brzęczy łańcuchem,
wszystko, co nie jest liściem zziębniętym i wiatru podmuchem.

Szeptem

Nie zawiedzie - ale tylko w tym jednym,
nie odstąpi - ale tylko za tę cenę,
wierna - ale tylko w tej godzinie,
dzielna - ale tylko kiedy nóż na gardle.

Ani się do niej przyznać, ni nie przyznać,
ani służyć, ni porzucić służbę,
ni powierzyć się, ni nie dowierzać,
ani przysiąc jej, ani ją przekląć.

Wyjść najpewniej na przestrzeń niewinną,
gdzie by wszystko było o czym innym,
oddalonym, bez świadków, nie krewnym...
I wkorzenić się tam, i nareszcie rosnać wielkim drzewem.

O jesieni, o jesieni

Niech się wszystko odnowi, odmieni....

O jesieni, jesieni, jesieni

Niech się nocą do głębi przeźrocza
nowe gwiazdy urodzą czy stoczą,
niech się spełni, co się nie odstanie,
choćby krzywda, choćby ból bez miary,
niesłuchane dla serca ofiary,
gniew czy miłość, życie czy skonanie,
niech się tylko coś prędko odmieni.
O jesieni!... jesieni! ... jesieni!

Ja chcę burzy, żeby we mnie z siłą
znowu serce gorzało i biło,
żeby życie uniosło mnie całą
i jak trzcinę w objęciu łamało!
Nie trzymajcie, nie wchodźcie mi w drogę
już się tyle rozprysło wędzideł ...
Ja chcę szczęścia i bólu, i skrzydeł
i tak dłużej nie mogę, nie mogę!
Niech się wszystko odnowi, odmieni! ...
O jesieni! ... jesieni! ... jesieni.

Kain i Abel

Było nas dwóch braci na pustym globie:
Kain i Abel.
Jeden baranki pasał, drugi na roli robił,
jeden był mocny, drugi - słaby.

Było nas dwóch braci i dwie różne miłości
do Boga Stwórcy:
jeden baranki mu składał zarżnięte,
drugi - pszenicę, kukurydzę i miętę,
słodkie ogórki.

Było nas dwóch braci, któryś z nich pozazdrościł
- Abel? Kain?
pokłóciliśmy się u ofiarnych ołtarzy,
słaby silnego zabił... To się powtarza...
I nie wiem dalej.

Błękitna chwila

Zniknie nad brzegiem, ujdzie za skały
Żagiel, w błękitcie jak skrzydło — biały
na rozpalonym zboczu rozściele
wiatr przedwieczorny pachnące ziele,
niską buczyną, ostrym jałowcem
wstrząśnie nad dzikim, górskim manowcem.

Dom jest daleko, świat jest daleko
Za zapomnienia górą i rzeką:
nic nam nie grozi, nikt o nas nie wie:
ptak w migdałowym ukryty drzewie
potrząsa skrzydłem i gwizdże z cicha ,
Zdeptany piołun wonią oddycha.

Czarownica

Mam mówiącego ptaka,
mam gadającą wodę,
mam starego czarodzieja
i dam ci go potrzymać za brodę;

mam węża, co się podnosi
na ogonie wśród kwiatów w trawie,
mam dwa uczone szerszenie,
które mi śpiąją w rękawie.

Mam cudownego szpaka,
mam żabę i żuka, i jeża,
mam mądrą białą kawkę,
puszysty kłębuszek pierza:

przemówi do ciebie ptak mój,
gdy się najmniej będziesz spodziewał,
a smutny smok na podłodze
nogi będzie ci łzami oblewał.

Twój sen, najpierwszy na świecie,
u mnie ma swoją ojczyznę,
i u mnie mieszka radość,
którąś ty wygnał w obczyznę,

a jeśli do mnie przyjdiesz,
zbrojne zmyliwszy straże,
to własne twe śpiące serce
w pudełku ci małym pokażę.

Józef Czechowicz

(1903–1939)



Żal

głowę która siwieje a świeci jak świecznik
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwają
niosę po dnach uliczek
jaskółki nadrzeczne
świergocą to mało idźże

tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
roztrzaskane szybki synagog
płomień połykający grube statków liny
płomień miłości
nagość
tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów
a to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz
zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem ktoś zacz

rozmnożony cudownie na wszystkich nas
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie

ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliach jurysta
zakrztuszony wołaniem gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
ja czarny krzyżyk na listach

o żniwa żniwa huku i blasków
czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną
naleci wtedy jaskółek zamieć
świśnie u głowy skrzydło poprzez ptasią ciemność
idźże idź dalej

Sam

u dna ostrego krzyku
nic się nie jawi
brudna skrwawiona stopa na chodniku
plot afisz
drzewa szeregami bojowo
chęć śpiewać ramionami nad głową
ziemia w kamieniach płowych nie może się uśmiechać
a gdzieś
choć naci pajęczce na strzechach
płatki lecą pod zorzę
świtem
wiatrak ręce ogromne rozłożył
nad żytem
choć rola wędruje brzdami wzdłuż
od horyzontu do horyzontu
od zórz do zórz
nie ma spokoju

pokoju mój z zegarem
przyjacielu z zacisznym objęciem ścian
ty nawet wietrze stary
na ulicach mnie zdradzasz gdzie sam

ach nie noc jedwabi żałobnych
nie burza nad pustki żywiołem
nie sen

słowami czerwonymi
strunami czerwonymi
za rozpalonym czołem
ciemny tors mostu nad ciszą
wszędzie czerwienie kołem
płomienie wisząc
w mętным strumieniu sekund
grożą
powodzią wieków
straszniej niż noc
straszniej niż burza
niż sen

Hymn

szumiąca
chorągwi czarnych armią
łopotem ogni
śpiewem
chwytasz znienacka za gardło
serce roztrącasz
zimnym zalewem

żyjemy błędzimy
kołują na zegarach godziny
za nikogo chyba
płacze późną jesienią
szyba
do kogo śmieje się maj z wierzbiny
mówiący słowa kwiatowe
wieczornym cieniom

kiedy ptak znad bystrzycy ulatuje wzwyż
ziemia cała spada ciężką kroplą
ścieżki pokrywa zieloność
drogi się kładą na krzyż
woda ucicha za groblą
biegną do swoich wnętrz puszyste knieje
i malejące kształty domostw
ty jedna olbrzymiejesz

złoty na czole nocy
nabrzmiwa znak twej mocy
żyła piorunu

potężnymi stopami wychodzi z mroku
drżeniem napełniający
ciemną zatoką
falujący
grom

wielbi cię siła człowieczej gliny
śmierci
winna bez winy

ginąc na lądach
w powietrzu płonąc
jak zorze
niespodziewane
przywaleni w kopalniach gruzu kolanem
śpiewamy
głodem żelazem wybuchami
ogniem i gazem
tobie grożąca
tobie nieunikniona
królowo nocnego słońca
nienasycona